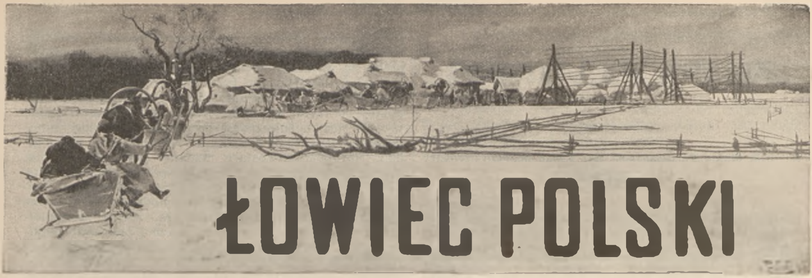


ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 178.

№ 16. | Warszawa, 16 sierpnia 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

IV-ta Warszawska Wystawa Psów.



Sława.

Medal srebrny. p. S. G. Menajlowa.

ZJAZDY WE LWOWIE.

(Dokończenie).

3. II-ie Walne Zgromadzenie Gal. Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich.

W d. 3 im lipca odbyło się Walne Zgromadzenie Gal. Klubu hodowli psów myśliwskich pod przewodnictwem prezesa Klubu, p. Stanisława Matkowskiego, który zaznaczył, że Klub powoli, ale stale rozwija się. Członków obecnie liczy 139, a stan kasy wynosi 2,486 koron. Wniosek wiceprezesa, p. Alberta Mniszka, aby właściciele i dzierżawcy polowań płacili 10 kor. rocznej składki, a wszyscy inni członkowie — po 5 koron, jednogłośnie przyjęto. Poczem p. Mniszek w dłuższem przemówieniu postawił szereg wniosków. Zaznaczył przedewszystkiem, że działalność klubu znalazła u ogółu myśliwych sympatyczne przyjęcie, czego dowodem jest zwiększenie się liczby członków i tem samem poprawienie stanu finansowego. Zakończył się już okres przygotowawczy, a wstąpić należy w okres czynny. Rozesłany przez klub kwestyonaryusz dowiódł, że w kraju znajduje się wcale pokaźny i doborowy materyał w psach myśliwskich. Zapowiedziane na początek września próby polowe wykażą dopiero, o ile ogół myśliwski weźmie udział w dalszym rozwoju Klubu. Wniosek swój p. Mniszek opracował na podstawie materyału, czerpanego ze statutów i regulaminów istniejących już Kennelklubów i przy pomocy fachowych znawców. Wniosek ten brzmi, jak następuje:

Gal. Klub hodowli i tresury psów myśliwskich przystąpi jako członek wspierający (Förderer) do Austr. Tow. hodowli psów (Oesterreichischer Hundezuchtverein) w Wiedniu z roczną wkładką kor. 50,— a to z następujących powodów: Tak w Austryi, jak i w Niemczech, Anglii, Francyi, Belgii i Holandyi, wszystkie Towarzystwa kinologiczne są scentralizowane i stoją pod naczelnictwem, czyli prezydyum, najbardziej wpływowego klubu w państwie, tworząc z nim razem, t. zw. Delegierten-Versammlung (każdy poszczególny klub mianuje swego delegata), czuwającą nad wykonywaniem wszelkich norm i przepisów, przez się wydawanych dla przestrzegania jednolitego kierunku, dotyczącego tak hodowli psów, jak i wykształcenia ich w kierunku myśliwskim. Klub prezydujący, w tym wypadku Austr. Tow. hodowli psów, wydaje rok rocznie księgi rodowodowe (Hundestammbuch), które przez wszystkie Towarzystwa kinologiczne europejskie zostały uznane jako miarodajne, a którego znaczenia nie mają księgi rodowodowe klubów, niestojących w związku z Delegierten-Versammlung i t. zw. „Special Stammbücher". Wydawanie ksiąg rodowodowych wymaga, prócz znaczniejszych wkładów finansowych, także i fachowej znajomości ras poszczególnych, jak i badania prawdziwości rodowodów, i nastręcza już przez to samo wielkie trudności. Wpisanie zaś psa do księgi rodowodowej, t. zw. „Oester. Hundestammbuch", kosztuje jednorazowo 3 kor., który to wydatek ponosi zawsze właściciel psa. Proponuję zatem, by klub nasz odstąpił od zamiaru prowadzenia własnych ksiąg rodowodowych i wpisywał psy na wystawach i popisach polowych przez się urządzanych, do ksiąg rodowodowych Austr. Tow. hodowli psów w Wiedniu! Jednakowoż będą równocześnie prowadzone księgi hodowlane klubowe dla ewidencyi materyału krajowego i ułatwienia rozplodu tegoż.

Z początkiem września r. b. należałoby urządzić popisy polowe psów legawych, połączone z t. zw. „Schau", czyli przeglądem zgłoszonego materyału, bez względu na rasę, wiek i czy są w posiadaniu członków klubu, czy też nie. Przy przeglądzie tym — przy którym musiałby być arbitrem uznany przez Austr. Tow. psów, sędzia — nadawanoby kwalifikacye I-go, II-go i III-go stopnia, a przez to samo i prawo do wpisu w księgi rodowodowe Austr. Tow. hodowli psów (Oestrr. H. Stammbuch). Przy popisie polowym, do którego dopuszczonoby były psy każdego wieku i bez względu na rasę (jednak tylko rasowe), badanoby:

Wiatr, sposób szukania zwierzyny, szybkość, wytrwałość, wystawianie ptactwa i zajęcy, awansowanie, sekundowanie, posłuszeństwo, zachowanie się: przed umykającym zającem, przed zrywającem ptactwem po strzale, przynoszenie zabitego ptactwa i zajęcy.

Przy popisach tych nadawanoby nagrody: I-ą

W taki to cichy, jesienny wieczór.

(Ciąg dalszy).

Nie jestem zbyt wymagającym, a jednak, widząc to, doznałem pewnego rozczarowania. Więcej pobłażliwe, czy więcej wyrozumiałe starsze łanie zdawały się wchodzić w położenie dwunastaka i pomne zasług jego z czasów, kiedy był jeszcze szostakiem i ósmakiem, stały spokojnie i patrzyły na ulubieńca swego i władcę ze współczuciem. Za to młodsze (Redaktorze, na miłość Boską, czy nie zwodziłeś mnie aby, zapewniając, że gazety Twej nie czytają nigdy piękne panie??!), otóż młodsze, łanie mniej doświadczone i pełne złudzeń, zdziwione były najwidoczniej takim brakiem manier, i przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, coraz to wyciągały długie szyje i wietrzyły, tęskno spoglądając w stronę młodszych byczków, które usunęły się były wprawdzie na drugi plan po przyjściu dwunastaka, lecz teraz ośmielone jego dziwnem zachowaniem się, chytrze bokami zachodziły do stada i szeptały coś do ucha łań! Cała młodsza część towarzystwa zdawała się mówić: „bo koniec końców, jeśli na to tylko nas tu zapraszano!"

Skandal wisiał w powietrzu...

Mogłem był wprawdzie zapobiedz złemu i jednem pociągnięciem za cyngiel ustrzedz zmęczonego lowelasa od wstydu, ale do leżącego strzelić nie chciałem i żal mi było przerywać idyllę tę zawcześnie przed rozwiązaniem sytuacyi. Zresztą: nie czyń tego drugim, co tobie nie miłe, a wszakże z wiekiem każdemu przytrafić się może, iż do tańca stanie — zmęczonym trochę.

Starsze więc damy zachowywały się powściągliwie, z godnością właściwą wiekowi, i ostrożnością. Za to między młodzieżą kwitnął w najlepsze flirt.

Byk, pewien swych praw i przywilejów, spoglądał pobłażliwie na zabawę młodych, bacząc, czy nie posuwają się za daleko i czy przestrzegają granic zakreślonych przez skromność. Tymczasem do dwóch kawalerów, hasających już na polanie, przyłączył się trzeci, hoży szóstak, co oczywiście podniosło jeszcze nastrój wśród płci pięknej i ożywiło harce. A jednak wszystko odbyć się mogło gładko, bez awantury, gdyby nie płochość jednej z młodych łań, która, wieczna Ewa kusicielka, zapominając o najelementarniejszym konwenansie, oddalać się poczęła od stada i, wabiąc za sobą jednego z szóstaków, zmierzała najwyraźniej ku zaroślom. Krew nie woda, a las i jego mroczne zacisza były tak blizko!

Na świecie wszystko ma granice, nawet wyrozumiałość — dwunastaka. Tego było zanadto, skończyły się żarty! Obrażony byk podniósł się powoli, z godnością skrzywdzonego w prawach swych małżonka,

300 kor., II-ą 200 kor., III-ą 100 kor., IV-ą 50 kor. Wpisowe wynosiłoby od psa 20 kor., dla zawodowych leśników (Berufsjäger) 10 kor. Zgłoszenia do „przeglądu“ „Schau“ jest wolne od wpisowego.

Połowę wpisowego do popisów polowych, płaci się przy zgłoszeniu — drugą połowę przy starcie.

Prócz tego, t. j. prócz popisów polowych, do których przyjmowanoby zgłoszenia psów rasowych myśliwskich, bez względu na właściciela, czy jest amatorem czy zawodowym tresseurem, możnaby urządzić popisy dla psów myśl., prowadzonych przez amatorów (panów) t. zw. „Herrenjagdsuche“, przy których badanoby te same przymioty, co w przepisach powyżej opisanych, a nadanoby tylko nagrody honorowe. Wkładka przy tym popisie wynosiłaby 20 do 40 kor.

Niezależnie od tych popisów należy urządzić wystawę międzynarodową psów myśliwskich w Krakowie z początkiem roku 1907-go, by materyał nasz krajowy porównać można było z materyałem zagranicznym.

Upraszam zatem: Walne Zgromadzenie raczy uchwalić:

1) zapisać klub do Austr. Tow. hodowli psów, jako członka wspierającego;

2) zgodzić się na urządzenie proponowanego przeglądu i dwóch prób polowych z początkiem września r. b. i przeprowadzenie ich polecić Wydziałowi pod warunkiem, że zgłoszonych psów będzie najmniej 10;

3) zgodzić się na urządzenie wystawy międzynarodowej w Krakowie na wiosnę 1907 r. i przeprowadzenie jej polecić wydziałowi.

Wniosek ten po ożywionej i wyczerpującej dyskusyi uchwalono.

Na tem zakończono obrady.

Propozycye do I-ych krajowych popisów polowych psów legawych, urządzanych przez „Gal. Klub hod. i tres. psów myśl. we Lwowie“ pod protektoratem J. O. Ks. Witolda Czartoryskiego w Przeworsku d. 11 września 1906 r.[1]

Prezydent: Stanisław Matkowski.

[1]) Załączamy w całości niniejsze propozycye, aby umożliwić czytelnikom porównanie z warunkami naszych prób polowych (patrz Nr. 15-ty). (*Przyp. red.*).

Kierownik popisów: Łowczy lub kierownik rewiru, w którym odbędzie się popis.

Sędziowie: Jan Bockhorni (Wiedeń), prof. dr. Leon Marchlewski (Kraków), Karol Drahanowsky (Lwów).

Ściślejszy komitet: PP. Andrzej ks. Lubomirski, Teofil Żurowski, Albert Mniszek, Antoni Skrzyński, hr. Artur Sumiński, Edward Münter.

Oddział I.

Przegląd. Do przeglądu tego dopuszczone będą wszystkie psy legawe tak ras niemieckich, jak angielskich bez względu na wiek, maść i uwłosienie, hodowane „bona fide“ jako czysto rasowe, na udowodnienie czego rodowód nie będzie wymagany. Celem przeglądu tego jest nadanie psom rasowym, odpowiadającym przepisowym znamionom ras poszczególnych, prawa do wpisu w księgi rodowodowe Austr. Towarzystwa hodowli psów rasowych.

Przy przeglądzie tym nadawane będą kwalifikacye I-go, II-go i III-go stopnia, przez autoryzowanych znawców ras poszczególnych i uznanych przez Austr. Towarz. hodowli psów rasowych w Wiedniu.

Zgłoszenia do przeglądu są wolne od wpisowego. Psy przy przeglądzie odznaczone I-ym, II-im, lub III-im stopniem kwalifikacyjnym zostaną wpisane do ksiąg rodowodowych za opłatą 5 koron.

Oddział II. Krajowy popis polowy. (Cztery nagrody pieniężne).

Otwarty dla psów legawych rasowych bez względu na rasę, wiek, maść i uwłosienie, które przy przeglądzie otrzymały I-y, II-gi, lub III-ci stopień kwalifikacyi.

Przy popisie tym badane będą następujące przedmioty:

Wiatr, sposób szukania, wytrwałość, szybkość, wystawienie ptactwa i zajęcy, posłuch, zachowanie się po strzale, przed wymykającym zającem, zrywającem się ptactwem, przynoszenie (aportowanie) zabitego ptactwa i zajęcy, szukanie i przynoszenie postrzałków.

---

ryknął krótko i, nastawiwszy rogi, ruszył ukarać chłystka. Szóstak uskoczył, nie czekając, a łania, zarumieniwszy się, ze spuszczoną głową wróciła na miejsce.

Jako szlachetny w gniewie swoim, władca stary nie ścigał uciekającego. Zawrócił, wystąpił na środek koła, zaparł się szeroko racicami dla nabrania rozmachu i, jakby przestrzegając, że karanym będzie każdy, kto wdzierać się tu ośmieli w jego prawa, groźnie zaryczał. Ale co to?!

Jeszcze grzmiał ryk, po lesie jeszcze odpowiadały echa, kiedy zdaleka, gdzieś z głębi kniei, z nad jeziora doleciał taki sam głęboki, potężny głos drugiego jelenia. Byk umilkł, stanął, jak wryty, i podniósłszy głowę, nasłuchywał, niepewny jeszcze, czy nie zwodzą go echa.

Nie, to nie było echo! Z lasu zagrzmiało znowu. Ryczał, wyraźnie ryczał, aż las trząsł się w korzeniach; ryczał coraz bliżej, coraz donośniej. Nasz dwunastak znał ten głos. To rywal nadciągał i urągał jego władzy. Ten nie uciekał, jak szóstak; wyzywał do walki i szedł śmiało, hardo oznajmiając swoje zamiary.

Znów zaryczał... W miejscowego byka wstąpiło inne życie. Zrobił się, jakby wznioślejszy, smuklejszy, najeżył grzywę, łeb wzniósł, wyłamał kark i, kopiąc racicami, aż ziemia leciała w powietrze, podał naprzód brodaty gardziel i odpowiedział. Jak rozmowa dwóch leśnych olbrzymów, w której słowo każde było grzmotem, po jeziorze toczył się ryk od brzega do brzega, aż knieje drżały, budziły się pola, a w siołach ludzie stawali i słuchali, mówiąc: „Słyszycie, to ci byki tak grają po borach“!

I szli tak na siebie dwaj królowie kniei na bój o berło w stadzie i — o miłość.

Odpłacając za mój wierny afekt, las sprawiał dla mnie igrzyska, na jakie spraszać zwykł tylko wybranych. Turniej zapowiadał się nielada, bo sądząc po ryku, zapaśnicy byli siebie godni: równej siły i odwagi. Już rękawica była rzucona i podjęta, już szranki gotowe, a piękne damy czekały tylko, komu w udziale przypadnie wieniec.

Bój rozpocząć się miał za chwilę, przeciwnik był coraz bliżej, coraz groźniej brzmiały fanfary, któremi się zapowiadał. Miejscowy byk drżał cały. To wyrzucając nogami, jak koń w hiszpańskiem tempie, wybiegał na spotkanie i ryczał, to niespokojnie zawracał, sapiąc, obiegał łanie, jakgdyby lustrować chciał swoje szeregi i upewnić się, że dochować zechcą mu wierności.

W. J.

(Dok. nast.).

I Nagroda 300 kor.
II „ 200 „
III „ 100 „
IV „ 50 „

Wpisowe wynosi 20 kor., dla zawodowych leśników (do nadleśniczego) 10 kor., z których połowa musi być złożoną przy wpisie, reszta na miejscu przy starcie. Poniżej 10-ciu zgłoszeń, z których najmniej połowa nie stawi się do popisu — popis się nie odbędzie.

Oddział III. (Trzy nagrody honorowe).

Popis polowy dla psów, prowadzonych wyłącznie przez panów, którzy nie są zawodowymi treserami, lecz amatorami i właścicielami obszarów myśliwskich oraz właścicielami psów, przez się prowadzonych. Warunki te same, jak przy popisie w oddziale II.

Wpis wynosi 40 kor., z których połowa przy zgłoszeniu, reszta na miejscu ma być zapłacona. Liczba psów, zgłosić się mających, nie jest ograniczona.

Ogólne postanowienia:

Zgłoszenia nastąpić mają najpóźniej do dnia 27 sierpnia 1906 r., w Galicyjskim Klubie hodowli i tresury psów myśliwskich w Lwowie, ul Szopena 1 — 7 ustnie, pisemnie, lub telegraficznie, przy równoczesnem złożeniu połowy wpisowego.

Opóźnione zgłoszenia tylko w tym wypadku są ważne, jeżeli udowodnionem zostanie, że pisemne zgłoszenia wraz z odpowiednią kwotą pieniężną przed upływem wyżej wymienionego terminu na poczcie nadane zostało.

Zgłoszenia po upływie terminu oznaczonego mogą aż do ostatniej chwili być uwzględnione, jednakowoż za złożeniem podwójnego wpisowego, zgłaszający nie ma zaś prawa wymagać, by zgłoszenie jego w programie popisów uwidocznionem zostało. Psy badane i sądzone będą tak pojedynczo, jak i parami, a wylosowanie liczb porządkowych nastąpi przy starcie.

Każdy pies, który do popisu ma być dopuszczony, musi odpowiadać znamionom ras poszczególnych.

Sądzić będą fachowi znawcy wedle własnego uznania. Od popisów wykluczone są psy nierasowe, chore i cieknące się suki.

Formularze do zgłoszeń wysyła klub na żądanie darmo i franco.

Z podpisaniem formularza zgłoszenia, poddaje się zgłaszający bezwzględnie powyższym postanowieniom i orzeczeniu sędziów.

Oprócz nagród pieniężnych i honorowych wydawane będą pp. właścicielom, wedle uznania sędziów, dyplomy z pochwalnem uznaniem.

Zmiany w programie zastrzega sobie wydział klubu, ewentualnie kierownik popisów w porozumieniu z sędziami, a o zmianach tych uczestnicy na miejscu powiadomieni zostaną.

Program szczegółowy ogłoszony zostanie w dzień zjazdu, wszystkie zaś bliższe szczegóły, co do dnia, miejsca etc., podamy najdokładniej w najbliższym numerze „Łowca“.

Wydział Galicyjskiego Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich.

Lwów, 18 lipca 1906 r.

Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Bielak (*Lepus variabilis*) różni się od zająca zwyczajnego, czyli szaraka, zwięźlejszą budową ciała, dłuższemi tylnemi nogami, krótszemi słuchami, a przedewszystkiem kolorem, który w lecie jest brunatno-szary, a w zimie śnieżysto-biały, z wyjątkiem końców uszu, które pozostają czarne. Zmiana koloru letniego na zimowy, która odbywa się przy pierwszych śniegach, następuje wskutek wypadania włosa brunatnego, a współczesnego wyrastania włosa białego, czyli wskutek t. zw. linienia. Inaczej zupełnie odbywa się zmiana barwy białej na szaro brunatną, która wypada na wiosnę — zwykle w kwietniu. Wówczas włosy białe zaczynają stopniowo ciemnieć, czyli, że zmiana barw zachodzi w samym włosie. Zwierz staje się z czasem pstrym, aż w końcu całkowicie przybiera ubarwienie letnie, t. j. szaro brunatne. Uczeni jednak przypuszczają, że i podczas przemiany wiosennej częściowe wypadanie włosa, czyli linienie, może się przytrafiać.

Bielak zamieszkuje wschodnią Europę, całą prawie Syberyę, północ starego lądu, a także wysokie regiony alpejskie. Rzecz dziwna, że spotyka się także w Irlandyi, gdzie jednak nigdy nie przybiera barwy białej i dlatego uczeni uważają go za oddzielny gatunek i nadają mu nazwę *Lepus hibernicus*. Przeciwnie znów bielak, zamieszkujący okolice podbiegunowe, nigdy nie zmienia barwy białej na ciemną, i tego oddzielono pod nazwą *Lepus glacialis*.

W Alpach bielak zamieszkuje wyższe piętra, aż po granice roślinności krzaczastej; spotykano go jednak po 11,000 stóp wysokości, t. j. w miejscach zupełnie ogołoconych z krzaków.

Zdaje się, że brak go zupełnie w granicach Królestwa Polskiego, jakkolwiek słyszałem, że zdarza się niekiedy w Augustowskiem; wiadomość ta jednak wydaje mi się nieprawdopodobną. Natomiast jest pospolitym we wschodniej części Litwy i na Inflantach.

Przed laty kilkunastu czyniono próby zaaklimatyzowania bielaka w okolicach Warszawy, mając na celu z jednej strony urozmaicenie naszych zwierzostanów, a z drugiej — zasiedlenie głębokich knieci, w których szarak trzyma się niechętnie, jako zwierz przeważnie polowy, gdy przeciwnie bielak, żyjący wyłącznie z lasu, łacno wśród głębokich puszcz przebywa. Pierwsze próby podjął w tym kierunku ś. p. August hr. Potocki w majątkach swych Jabłonna i Nieporęt. W krótce po nim sprowadziło też kilkadziesiąt par bielaków Bolimowskie Kółko myśliwskie do terenów. dzierżawionych przez siebie w Guzowszczyźnie, a zaraz potem Otwockie Kółko napuściło tej zwierzyny w dzierżawionych przez siebie lasach Otwockich. We wszystkich tych wypadkach bielaki trzymały się przez lat kilka, lecz stopniowo liczba ich zmniejszała się, aż w końcu zwierzyna ta zupełnie wyginęła, przyczem zauważono, że niektóre osobniki wędrowały bardzo daleko od miejsca swego zasiedlenia. Tak np. widziano bielaki w puszczy Kampinoskiej, dokąd zapewne przywędrowały z lasów Nieporęckich, przebywszy Wisłę po lodzie, a nawet, jak słyszałem, pojedyńcze osobniki widziano w gub. Płockiej.

Jakie przyczyny wpłynęły na wyginienie bielaków, domyślać się tylko możemy. Przedewszystkiem zdaje się, że charakter naszych lasów, względnie bardzo kulturalny i przeważnie suchy, nie odpowiadał naturalnym potrzebom tego zwierzęcia, które w nich nie znajdowały odpowiedniej dla siebie karmy. Z drugiej znów strony łagodne, a często bezśnieżne zimy, musiały się w znacznym stopniu przyczynić do szyb-

kiego wyginienia bielaków. Przyroda obdarzyła je białą turzycą na zimę, „aby je czynić niewidocznymi na śniegu. Tymczasem u nas bielutenki jak śnieg zając, musiał chcąc nie chcąc trzymać się na czarnej stopie, gdzie go ze znacznej odległości widać było, narażony na napaści zarówno ze strony drapieżników, jak i człowieka. Sam obserwowałem bielaki w Bolimowie podczas naganek na czarnej stopie: w ruchach ich była widoczna niepewność, bo się w niekorzystnem dla siebie środowisku znajdowały.

Zresztą nie należy zbytnio żałować, że zwierz ten nie dał się u nas zaaklimatyzować, gdyż mięso jego ustępuje znacznie pod względem smaku mięsu zająca zwykłego.

Pomimo, że bielak żyje w wielu okolicach w bezpośredniem sąsiedztwie z szarakiem, z którym go łączą bliskie węzły pokrewieństwa, nie wiem, czy te dwa gatunki się ze sobą krzyżują. Raz tylko widziałem na rozkładzie w Bolimowie zająca, który mi się wydał podejrzanym: był on znacznie krótszy od szaraka, uszy miał krótsze, a z pośród turzycy na grzbiecie, bokach i zadzie wyrastały rzadkie, długie, białe włosy. Czy to jednak był mieszaniec bielaka z szarakiem — twierdzić napewno nie mogę. Szwajcarski uczony, Tschudi, utrzymuje w swem dziele (*Les Alpes*), że hibrydy obu tych gatunków wielokrotnie były zabijane w Alpach; we wszystkich jednak wypadkach, przez niego przytoczonych, mowa jest o egzemplarzach pstrych, to jest w części białych, a w części szarych; zachodzi więc kwestya, czy to nie były szaraki, dotknięte częściowym albinizmem. Tylko bliższe zbadanie proporcyj ciała i kości mogłoby ostatecznie tą ciemną sprawę rozjaśnić.

Jan Sztolcman.

(C. d. n.).

Strzelanie porównawcze.

(Strzelba Browninga i dubeltówka).

W ubiegłym miesiącu przez dwa dni odbywało się w strzelnicy stacyi doświadczalnej w Neumannswaldę interesujące strzelanie porównawcze do 600 gołębi glinianych, z czego 300 strzelano strzelbą Browninga, a 300 dubeltówką, przyczem używano czterech różnych gatunków prochu bezdymnego. Celem strzelania było wyłącznie praktyczne porównanie, uczynione na gołębiach glinianych między strzelbą Browninga a dubeltówką, nie zaś strzelanie konkursowe między strzelcami. Sędzią był inspektor podatkowy, Schinkel. Strzelcami — znani myśliwi: Albert Preuss i Konrad Eilers. Każdy z nich strzelał do 300 gołębi glinianych w ten sposób, że do 150 ze strzelby Browninga i do reszty 150 z dubeltówki. Strzelano naprzemian fuzyą Browninga i dubeltówką do 25, względnie dwóch do 50 gołębi glinianych. Posiłkowano się jednocześnie trzema maszynami do wyrzucania, modelu Preussa i niemieckiemi gołębiami asfaltowemi.

Odległość od maszyny wynosiła dla każdego strzelca przy jednej połowie gołębi 16 metrów, a przy drugiej połowie 20 metrów. Sprężyny maszyn do wyrzucania były ostro napięte. Gołębie wyrzucano bez wiedzy strzelca w dowolnych kierunkach. Spadzistych wyrzucań unikano. Gołębie leciały przeciętnowo na odległość 60 do 80 metrów.

Rezultaty, zestawione przedmiotowo podług protokułu, były następujące:

I. Wyniki ze strzelbą Browninga przy dowolnej liczbie strzałów

Strzelcy	Proch wzgl. marka naboi	Liczba strzelanych gołębi	Liczba trafionych	Procent trafionych	Traf. strzałem			Chybione
					trzecim	czwartym	piątym	
Preuss	Rottweiler „Aegir“	50	45	90	3	4	2	5
	Saxonia „Eilers“	50	47	94	9	2	2	3
	Suma	100	92	92	12	6	1	8
Eilers	Rottweiler „Aegir“	50	47	94	4	1	3	3
	Saxonia „Eilers“	50	42	84	4	1	—	8
	Suma	100	89	89	8	2	3	11
	Ogółem	200	181	90½	20	8	7	19

II. Wyniki ze strzelbą Browninga przy dwóch strzałach.

Strzelcy	Proch wzgl. marka naboi	Liczba strzelanych gołębi	Liczba trafionych	Procent trafionych	Chybione
Preuss	Mullerite i berliński	50	38	76	12
Eilers	Mullerite i berliński	50	43	86	7
	Suma	100	81	81	19

III. Wyniki z dubeltówką.

Strzelcy	Proch wzgl. marka naboi	Liczba strzelanych gołębi	Liczba trafionych	Procent trafionych	Chybione
Eilers	Saxonia „Eilers“	50	45	90	5
	Rottweiler „Aegir“	50	40	80	10
	Mullerite i berliński	50	41	82	9
	Suma	150	126	84	24
Preuss	Saxonia „Eilers“	50	37	74	13
	Rottweiler „Aegir“	50	47	94	3
	Mullerite i berliński	50	41	82	9
	Suma	150	125	83,3	25
	Ogółem	300	251	83,66	49

IV. Wynik ogólny.

Strzelby Browninga dały na 300 gołębi (z czego 200 z dowolną liczbą strzałów, a 100 z dwoma strzałami najwyżej) *262 trafionych* = około $87\frac{1}{2}$ %.

Dubeltówka dała na 300 gołębi 251 trafionych = około $83\frac{2}{3}$ %.

Jeżeli odliczymy przy 262 trafionych ze strzelbą Browninga—35 trafionych 3-m. lub 5 m. strzałem, to wypadnie 227 trafionych = około $75\frac{1}{2}$ %, podczas gdy przy strzelaniu do 100 gołębi, *przyczem dozwolone były tylko 2 strzały*, osiągnięto *81* % trafionych.

Jeżeli natomiast doliczymy 5 strzałów Browningiem, to osiągnął on na 200 gołębi 181 trafionych = $90\frac{1}{2}$ %.

V. Amunicya.

Do osądzenia *ogólnej dobroci naboi* musimy oczywiście przy strzelbie Browninga odliczyć trafione 3-m lub 5-m strzałem. Z tym warunkiem osiągnięto:

1. „*Prochem myśliwskim berlińskim*“ (Westf. — Anhalt. tow. akc. materyałów wybuchowych) na 100 gołębi 83 trafionych = 83 %.

2. Prochem bezdymnym *Rotweiler* z nowym nabojem specyalnym „Aegir“ (Fabryka naboi Bischweiler, Walbinger i Meuschel) na 200 gołębi 162 trafionych = 81 %.

3. Nabojami *Mullerite* na 100 gołębi 80 trafionych = 80 %.

4. Prochem *Saksonia* z nowym nabojem specyalnym marki „Eilers“ (Wyrób amunicyi Schoenbeck nad Elbą) na 200 gołębi 153 trafionych = $76\frac{1}{2}$ %.

Przy dodaniu 3 - 5 strzału z fuzyi Browninga osiągnięto *Rottweilerem* („Aegir“) 92 %, *Saksonią* („Eilers“) 89 % trafionych.

VI. Działalność broni i amunicyi, oraz ogólna sprawność strzelców.

Przeszkody w funkcyonowaniu przy strzelbie Browninga wydarzyły się:

1. *Saksonią* („Eilers“) na 200 gołębi, a mianowicie przy dowolnej liczbie strzałów: *ani razu*.

2. *Rottweilerem* („Aegir“) na 200 gołębi: a mianowicie przy dowolnej liczbie strzałów: *raz*. (Raz jeden wypadł pełny nabój).

3. *Mulleritem* na 100 gołębi: *dwa*. (Dwa razy zahaczył się mocno nabój wystrzelony).

4. *Berlińskim* na 100 gołębi: *trzy*. (Dwa razy wypadł pełny nabój, raz zahaczył się mocno nabój wystrzelony).

Trzy używane strzelby Browninga funkcyonowały do czasu tych drobnych przeszkód nabojowych bez zarzutu i zostały zupełnie nietknięte. Używane dubeltówki nie wykazały *ani jednej* przeszkody.

Trafione dzielą się podług strzelców:

Eilers	87	Preuss	84
„	84	„	79
„	87	„	92
	258 = 86 %.		255 = 85 %.

O.

Z nowego królestwa Norwegii.

II.

Zaaklimatyzowanie jeleni.

P. Leverkus-Leverkusen podjął się zaaklimatyzowania w północnej Norwegii jeleni z Niemiec i Węgier. Wysłał przeto kilka transportów żywych zwierząt, które szczęśliwie wylądowały. Z 18 sztuk, śród których było 12 łań i 6 byków, zdechł tylko jeden ósmak podczas pierwszego transportu w r. 1900 na okręcie w drodze między Hamburgiem a wybrzeżem norweskiem; jelenia tego wrzucono do wody.

Jelenie pochodziły z majątków księcia Reusz-Greiz, który miał zwierzyńce w Niemczech i na Węgrzech i dokonywał często odświeżenia krwi, łącząc zwierzynę obu tych krajów.

Przybywszy na wyspę norweską, Otterö w marcu, zaczęto karmić jelenie czerwoną rzepą, kartoflami, owsem i sianem do czerwca, a pozatem same żerowały, z zamiłowaniem wyszukując gałęzi jarzębiny i olszyny. Od miejscowych zaś jeleni nauczyły się używać także pewnego gatunku morszczynu, specyalnie tam dla karmienia jeleni przeznaczonego. Morszczyn ten ma szczególną wartość odżywczą dla jeleni w Norwegii północnej, które przez to tyją i w dobrym stanie znoszą ostre przejście od zimy północnej do wiosny. Do liści morszczynu przyczepia się sztucznie sól morską, która dla rozrostu rogów u byków ma ogromne znaczenie.

Sposób ten jest tak skuteczny, że jelenie z wyspy Ottero mają zawsze silniejsze rogi, aniżeli z wyspy Hitteren przy Drontheim, gdzie nie używają tej soli.

Na wyspie Ottero było przed stu laty przeszło 200 sztuk jeleni. Liczba ta zmniejszyła się znacznie z upływem czasu, ponieważ niszczyli je kłusownicy z Laponii, którzy pasą swe renifery w tamtych stronach. Przez to kłusownictwo liczba jeleni spadła do 30 sztuk; wskutek tego zmniejszenia się liczby jeleni, zaczęła się ruja między blizko sobie pokrewnemi zwierzętami i nastąpiła przeto degeneracya; sprawdziło się przysłowie: „*Quod non fecerunt Barbari, fecerunt Barberini*“!

W r. 1898 było na wyspie 18 łań jałowych, bardzo starych, które w r. 1899 nie dały ani jednego cielęcia. Niektóre sztuki, z powodu późnej starości, miały jasną, szaroperłową barwę sierci, a głowy prawie białe. Podobnież z pozostałych siedmiu byków, z których jeden był czternastak, dwa dwunastaki i dwa ósmaki, żaden nie okazywał już chęci do rui.

P. Leverkus podjął się wtedy odświeżenia krwi jeleni na wyspie, pod warunkiem, że mu wydzierżawią na lat piętnaście całe polowanie na Ottero. Przy pomocy wicekonsula Juella w Namsos udało mu się uzyskać dzierżawę do 1914 r. na korzystnych warunkach. Postanowiono, że za każdego jelenia ubitego płacić trzeba sumę, stosownie do gałęzi rogów. I tak za ósmaka i dziesiątaka płacono 50 koron norweskich, za dwunastaka i czternastaka — 75 koron, od szesnastaka zaś po 100 koron. Pieniądze te brał właściciel gruntu, na którym zabito jelenia; oprócz tego należało także do właściciela mięso ubitego zwierzęcia. W ten sposób właściciele gruntów na wyspie sami bacznie oszczędzali jelenie, ażeby dzierżawca mógł na jesieni ubić jaknajwiększą liczbę i płacił za to sporo pieniędzy.

Z drugiej strony właściciele zobowiązali się płacić po 600 koron odszkodowania za każdą sztukę, ubitą przez kłusownika lub zagryzioną przez psy. Wystarali się też w Chrystyanii o wydanie rozkazu, wzbraniającego lapończykom paść swe renifery na wyspie Ottero.

P. Leverkus umieścił na wyspie dozorcę z czterema pomocnikami, którzy zabijali włóczące się psy i karmili zimową porą jelenie. W r. 1900 przywieziono znowu 5 sztuk na okręcie „Haakon Jarl“, 4 łanie i byka. Każda z łań miała w czerwcu tego roku zdrowe, silne cielę; byk zaś, który wtedy był szóstakiem, został w r. 1901 dziesiątakiem, a w r. 1902 — tęgim dwunastakiem. Łanie z cielętami wybornie przezimowały z 1900 na 1901 r. Jedna z nich razem z młodem podczas silnej burzy zimowej z orkanem, szukała schronienia w stajniach koło domu dozorcy, skąd nie

wyszła, dopóki nie nastała lepsza pogoda, mniej niebezpieczna dla młodego cielęcia.

W r. 1901 nie wysłano nowego transportu, chcąc się najprzód przekonać, jaki będzie rezultat prób dotychczasowych. Gdy w tym roku trzy łanie z importowanych miały znowu młode, a jedna nawet bliźnięta, to w lutym 1902 r. i następnie również w tym miesiącu 1903 r. sprowadzono dwa nowe transporty po 6 sztuk.

Cielęta, urodzone w 1900 r., na jesieni 1902 r. przystąpiły do rui ze skutkiem pożądanym. Pod wpływem nowoimportowanych jeleni, stare, które już rok cały zaniedbały rui, znowu zaczęły w następnym roku ryczeć. Stwierdzono także, iż nastąpiło krzyżowanie jeleni norweskich z niemiecko-węgierskiemi, a w następstwie odświeżenie krwi w nowym produkcie mieszanym.

Dodać należy, że jelenie dobrze znosiły podróż morską, mimo, że okręt „Sirius" naprzykład został zaskoczony na morzu przez gwałtowną burzę, która nim miotała, jak piłką, i ledwie zdążył ukryć się w jednym z doków morskich. Jelenie tylko przemokły strasznie, wskutek czego barwa sierci zmieniła się na zupełnie białą. Okazało się jednak, że to tylko rodzaj rosy, którą jelenie strząsnęły z siebie przy pierwszem karmieniu.

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(*Ciąg dalszy*).

23 sierpnia. O pół do dziewiątej, zaszedłszy do miejscowego sklepu, widzimy, że cała karawana Amerykanina rusza w drogę: muły, psy, krowy, cielęta, tragarze — wszystko jest w ruchu. Dowiadujemy się, że myśl tego marszu przyszła p. Bradley'owi podczas nocy. Robimy różne zakupy; Henryk znalazł konfitury, a my — mały gatunek soczewicy zielonej i czerwonej, bardzo apetycznie wyglądającej.

Kobiety masajskie powracają, aby zrobić wybór z prezentów, dla nich przygotowanych; nie lubią one rzeczy złoconych, a przeciwnie bardzo im się podobają wyroby srebrne, zupełnie jak Malgasze. Prosimy je, aby nam dały dwie kulbasy do mleka, oryginalnie ozdobione znanemi muszelkami „cori", które przez długie lata były jedyną monetą afrykańską; a również o jedną skórę, używaną za okrycie i jednocześnie za ubranie. Dostajemy żądane rzeczy, lecz natomiast nie mogą nam obiecać jednej tarczy miejscowych wojowników.

Dzień cały spędzamy w spokoju na przygotowaniach do wymarszu.

24 sierpnia. Masaje przynoszą nam jeszcze mleka, tego mleka, tak mile pachnącego dymem... Ponieważ biedny nasz misyonarz cierpi jeszcze na ataki febry, przeto zostawiamy go na miejscu; złączy się z nami dopiero w sobotę wraz z ludźmi, którzy oczekują na kuryera. Wyruszamy o godz. 7-ej rano.

Po drodze widzimy Massajów, zajętych pilnowaniem stad bydła. Możemy przy tej sposobności sprawdzić, że dawna tradycya wyrywania przednich zębów z dolnej szczęki nie zaginęła jeszcze u nich; robią to jakoby w celu przymusowego wpychania jedzenia podczas choroby!

Idziemy w ciągu dwu godzin po otwartej równinie, spotykając tylko antylopy Granta, Thomsona i niepodobne do podejścia żórawie czubate. Następnie wkraczamy do „thick bush" (zwartego gąszczu), zamieszkanego przez bawoły, guiby, dziki, nosorożce i pełnego prześlicznych motyli zielonych, unoszących się nad kałużami wody. Na nieszczęście moja siatka do motyli znajduje się w rękach poganiacza mułów, którego wołamy napróżno. Wychodząc z tego lasu, spostrzegamy dwa phacochery; Guy strzela i rani jednego, lecz ani sposobu odnaleźć postrzałka.

Wkraczamy znów na otwartą przestrzeń, wznoszącą się stopniowo aż do lasu na połowie wysokości górskiego łańcucha. Znajdujemy tu niejakie podobieństwo z Saint-Pierre de Chartreuse... Widok prześliczny. Lecz, niestety, nadciąga burza i po raz wtóry od czasu, jak jesteśmy w Afryce, trzeba rozbijać obóz przy strasznej nawalnicy. Po przejściu deszczu Guy robi małą wycieczkę z mannlicherem, lecz tylko chybia kilka antylop Thomsona. Znajdujemy się tu na 2,000 metrów nad poziomem morza.

25 sierpnia. O godzinie 7-ej rano w drogę. Okalamy rodzaj cyrku, w środku którego znajdował się nasz obóz. Podnosząc się łagodnym spadkiem, wkraczamy pod sklepienie lasu, tak ciemnego, jak tunel, aby wkrótce spuścić się na łeb na szyję do innej równiny otwartej, okolonej ze wszystkich stron górami lesistemi. Naraz około godziny 11-ej rano, spotykamy ścieżkę słoniową, przecinającą naszą drogę. Ponieważ znajdujemy się już w bliskości miejsca, obranego na obozowisko, więc wysyłamy tam karawanę, a sami ruszamy tropami, wkrótce jednak dochodzimy do miejsca błotnistego, którem bardzo trudno jest posuwać się naprzód, z powodu głębokich jam, porobionych nogami gruboskórów. Decyduję się wtedy iść do obozu.

W dwie godziny potem nadchodzi Henryk, oznajmiając, że należy posłać lotny obóz Guy'owi, który w dalszym ciągu idzie tropami słoni. Zaledwie jednak ukończono przygotowania, gdy oto zjawia się sam Guy; okazało się, że wszystkie siedm słoni, za któremi tropił, były to samice i młode. Mąż mój mógł rozpoznać dobrze tropy w miejscu piaszczystem i przyszedł do tego przekonania w chwili właśnie, kiedy znajdował się już w bliskości słoni. Wrócił, idąc ciągle tropami dużego lwa, który najwidoczniej szedł za stadem elandów. Mąż mój widział cztery samice elandów, lecz nie spotkał się ze lwem. Guy spotykał mnóstwo motyli na ścieżce słoniowej, a szczególniej na ekskrementach.

W czasie mgły jeden z naszych tragarzy przychodzi z wiadomością, że widział żyrafy i nosorożce. Robi się rwetes w obozie, lecz okazuje się, że to były zebry, którym widać tylko grzbiety i wydają się, jakby pływały w wysokich trawach. Jabym je raczej wzięła za hypopotamy. Ale imaginacya murzynów jest tak bogata!...

26 sierpnia. Wyruszamy o 7-ej; idąc przez dwie godziny odkrytemi równinami, lasami i górami, przybywamy nareszcie do miejsca, zkąd widać jezioro Baringo, które leży na 1,050 metrów nad poziomem morza, gdy my znajdujemy się jeszcze na 2,050 metrów. Błyszczy ono w pięknem obramowaniu gór. Ruszamy wesoło naprzód, nie mając jednak nadziei dotrzeć do posterunku, gdyż o drugiej po południu przewodnicy utrzymują, że brak jeszcze trzech do czterech godzin marszu. Mimo to decydujemy się jeszcze iść naprzód. Guy zabija piękną antylopę Jacksona, a nadto spotykamy jeszcze kilka reedbuck'ów.

Wkrótce mija nas askari z posterunku nad jeziorem, który twierdzi, że pozostaje nam już tylko godzina marszu. Idziemy więc dalej, mimo opozycyi tragarzy, którzy mieli w samej rzeczy trudną przeprawę dnia dzisiejszego, i spostrzegamy wkrótce „bomę". Przybywamy tam bez żadnych przeszkód, przebywszy uprzednio mały strumień, okolony karłowatemi palmami. Zastajemy w posterunku p. Archera, miejsco-

wego „kolektora“. W oczekiwaniu karawany, pijemy u niego doskonałą herbatę, a tymczasem na dworze pada deszcz rzęsisty, o którym p. Archer mówi, „że to nic nadzwyczajnego, jesteśmy przecież w pełni „dry season“ (pory dżdżystej).

P. Bradley przybył tu już około południa; rozbijamy obóz tuż obok niego. Znajdujemy się teraz na 1,200 metrów, a różnica temperatury jest bardzo znaczna.

(*C. d. n.*).

DZIEŁO SCHILLINGSA
o zwierzynie na wolności.

(*Streszczenie*).

(*Ciąg dalszy*).

I. Tragedya kultury.

Rozdział pierwszy autor zaczyna od narzekania na kulturalnego człowieka, którego zjawianie się grozi zagładą ludności pierwotnej całych krajów, oraz ich faunie bogatej i pięknej. Po niej przychodzi kolej na florę, niszczy się lasy dziewicze. Najprzód tępić zaczęli zwierzęta krajów, położonych nad oceanem Lodowatym, dostarczające futra i tranu. *Hudsonbay-Company* szerzyło spustoszenie śród zwierząt futrzanych amerykańskich krajów polarnych. Skórka wydry morskiej kosztuje już obecnie parę tysięcy dolarów, a całej skóry wypchanej wcale dostać nie można.

Walka z wielorybami sroży się wciąż gwałtownie, mimo że w czasie łowienia ich niejeden człowiek traci życie na morzu. Obecnie zaś, gdy dawniejsze harpuny zaczęto zastępować armatami, z których strzelają do tego zwierza, grozi mu niezadługo zanik zupełny w wielu okolicach, a z biegiem czasu — zagłada całkowita.

Przed dziesiątkami lat były jeszcze na preryach amerykańskich miliony bawołów, bizonów (*Bison americanus Gm.*); teraz są wielką rzadkością. Przez wprowadzenie płotów z kolcami drucianemi wyginęło w Ameryce wiele gatunków jeleni; w Australii kangury musiały ustąpić przed farmerami. W Azyi ulegają wytępieniu nosorożce, dzikie barany i kozy, oraz konie. W Europie wyginęły żubry (*Bison europaeus Ow.*). W Alpach wymarły koziorożce. Łoś (*Alces palmatus*) zanikł w Europie środkowej, podobnież i bobry.

Zdumiewająco szybko ginie obecnie zwierzyna w Afryce południowej. W Kaplandzie Burowie tępili różne gatunki zwierzyny.

Dalej wymarły w ten sposób: gnu (*Connochoetes gnu Zimm.*), kozły: *Damaliscus pygargus Pall.* i *Damaliscus albifrons Burch.*, kwaga (*Equus quagga Gm.*), zebra górska (*Equus zebra L.*), wspaniała niebieska antylopa końska (*Hippotragus leucophcus Pall.*), bawół kapski (*Bubalus caffer Sparrm.*), słonie, ogromny, t. zw. biały nosorożec (*Rhinoceros simus Burch.*), czarny nosorożec, żyrafa, koń rzeczny, v. nilowy, hipopotam i struś. Niektóre z tych gatunków zniknęły wszędzie, a inne tylko lokalnie.

Natomiast w dzikich stepach, dokąd nie dotarła cywilizacya, roi się od zwierzyny, która przytem wcale nie unika dzikich mieszkańców. Dzieje się to w puszczach niesłusznie zwanego „czarnym“, kontynentu, pełnego owszem światła jasnego. Tam obok czarnego człowieka przebywają w pobliżu różne zwierzęta dzikie, jak u nas gatunki hodowane, jak ptaki śpiewające i zwierzyna oswojona, jak bocian, łabędź, wiewiórka i t. p.

Bawiąc tam, widziałem i spotykałem tak liczne gatunki, że trudno było marzyć o czemś podobnem. Zabrałem się przeto do zdobywania, o ile można, najwięcej okazów, zarówno dla muzeów, jak i innych celów. Wtedy jeszcze czasu było dosyć, teraz zaś kto wie, czy nie jest już zapóźno, bo zapewne wiele gatunków już zdążyło zaniknąć.

Kolekcyonowałem liczne serye skór, czaszek, szkieletów i t. d., by wzbogacić potem wiele muzeów licznemi okazami, zupełnie dotąd nieznanemi.

Karawana moja liczyła przeszło 130 osób. Oczywiście, że w tak licznem towarzystwie łatwiej było urządzić hekatomby w kniejach, niż dobrze spreparować jedną skórę żyrafy i przywieźć do brzegów Europy. Na to trzeba było samemu nieraz czuwać po nocach i pracować w pocie czoła.

W licznych muzeach dzięki mistrzowskim rękom taksidermatistów (preparatorów) odżyły różne okazy świata zwierzęcego stepów afrykańskich, począwszy od najmniejszych antylop karłowatych do żyraf, od kozła do nosorożca i słonia.

Na tem kończy się rozdział pierwszy, który zdobią następujące ryciny: „Tysiące gnu pokrywają stepy słone“; „Euphorbie kandelabrowe, jak również Masai-El. węgorze morskie stanowią znamię typowe Nyiki“; „Tak zwani „godni zaufania, czarni Fundi“,— w dawniejszych latach, niestety, koncesyonowani, uzbrojeni w broń palną, *myśliwi na słonie*, — zabijają, oprócz słoni, także nosorożce w wielkiej ilości“; „Wielkie ilości kłów słoniowych i rogów nosorożców nagromadziły się na stacyach. Nałożone podatki i kary — tak zwana „kość słoniowa karna“ — powodują krajowców częstokroć do ofiarowania tego „Pembe“ i pobudza ich do najbardziej intensywnego prześladowania słoni“; „Olbrzymie resztki kościane, a głównie olbrzymie czaszki słoni, tworzą jeszcze po latach *Memento mori*“.

J. Kamieniusz.

(*C. d. n.*)

Polowanie na wydry.

(*Ciąg dalszy*).

Po powrocie sprawdziłem, że wydra, zwietrzywszy nas, nie wróciła do rzeczki. Po opuszczeniu stawu była zmuszoną trzymać się małego strumienia, w którym nie mogła znaleźć żadnego schronienia; gdy więc dzień zajaśniał, ukryła się w bardzo gęstym krzaku na brzegu strumienia, w odległości trzech wiorst od stawu. Wypędzenie jej ztamtąd było bardzo łatwe, a pościg, trwający kwadrans czasu, dostarczył nam wiele przyjemności. Wychodząc bezustannie ze zbyt wązkiego łożyska, wydra przemykała się pomiędzy nogami ludzkiemi i psiemi łapami; schwyciłem ją nakoniec za ogon i rzuciłem psom, oszalałym z radości z powodu tego pościgu na oko.

Ale najciekawszą rzeczą było odkrycie owej sławnej kryjówki, która nas zmusiła do tak długich poszukiwań. Powróciliśmy więc na ślad nocny, kierując psy pod trop. To nas doprowadziło do miejsca, gdzie ślad był znaleziony, a dalej znowu nic. W rzeczce, w tem miejscu wody było nie więcej, jak 50 centymetrów: brzegi były zupełnie gołe; o 100 metrów w górę i w dół rzeczka była zupełnie wyschnięta; wydra więc nie mogła się tam ukrywać. Ale z rzeczki wychodził niewielki rów, mający zaledwie 20 ctm. wody i 100 mtr. długości, doprowadzający wodę do bardzo głębokiej sadzawki, wykopanej wśród łąki i służącej do pojenia bydła. Brzegi tej sadzawki były czyste, ale o 2 metry od brzegu rósł gruby jesion,

wysoki około ośmnastu stóp. Zdawało się, że on jest pełny i zdrowy, a jednak był wewnątrz pusty. W tej to dziupli wydra ukrywała się przez trzy dni. Przychodziła ona tam z rzeczki po wodzie w rowie, a dostawała się wewnątrz przez dziurę, zakrytą wodą sadzawki, nie zostawiała przeto żadnego śladu. Drzewo było wydrążone aż do samej korony, mogła więc swobodnie oddychać powietrzem, dochodzącem z góry. Psy mogły kręcić się około samej kryjówki, a jednak żadne wyziewy nie zdradzały obecności zwierzęcia.

Rowek, prowadzący do sadzawki, nie zwrócił jakoś uwagi myśliwych; nikt zresztą nie mógł się domyśleć, że wydra ukrywa się w drzewie, które nie wydawało się wydrążonem.

Wzięta wydra była młodym samcem, wagi piętnastu funtów. Tu zauważyć należy, że tylko młode obojga płci zatrzymują się dłużej, niż dwa dni, w jednej miejscowości.

Drugie, niezwykle trudne polowanie, p. de Tinguy opisuje w następujący sposób:

Pierwszego dnia nie zdążyliśmy ruszyć zwierzęcia z kryjówki. Następnego dnia ruszyliśmy je, ale w miejscowości, w której nie mogło być wzięte. Zaraz też zatrzymaliśmy psy, nie chcąc napróżno straszyć wydry, i w nadziei, że następnej nocy będzie ona kontynuować swoją wędrówkę w górę rzeczki.

Cofnęliśmy się więc w dół, ale zatrzymawszy się na kilka chwil w pewnej odległości i narobiwszy tam dużo hałasu. Zwykle zdarza się, że wydra, słysząc hałas z jednej strony i podejrzewając tam niebezpieczeństwo, wieczorem puszcza się w stronę przeciwną.

Trzeciego dnia rzeczywiście nasza wydra poszła w górę, ale schroniła się w wielkim stawie, pośród gniazd łysek. Czwartego dnia powróciła do części rzeczki, w której wzięcie jej było niepodobnem. To też zaraz po ruszeniu jej, psy zostały zatrzymane, tak samo, jak dwóch dni poprzednich.

Tymczasem wydra, niepokojona tyle razy, zdecydowała się piątego dnia (a raczej nocy) puścić się w dół rzeczki, i było widoczne, że jej zamiar jest stanowczy. Ukryła się przytem na dzień tak dobrze, że nie sposób było wyruszyć jej. Dzięki jednak konfiguracyi rzeczki, mogliśmy w przybliżeniu określić miejsce, gdzie się znajdowała. O wiorstę poniżej owej przypuszczalnej kryjówki, wpadał do rzeczki znacznie mniejszy strumień. Kazałem więc o kilkaset metrów poniżej zagrodzić rzeczkę sieciami i na noc pozostawiłem tam dla pilnowania paru ludzi z psami, poleciwszy im nie żałować hałasu. Spodziewałem się tym sposobem zmusić wydrę do powędrowania w górę strumienia. Tak też się stało. Wydra poszła strumieniem aż do jego źródeł, t. j. około ośmiu wiorst długości. Ztamtąd suchym lądem przeszła około mili drogi do innego biegu wody i prawie zaraz zatrzymała się. Dowodziło to najpierw, że zwierzę było bardzo wystraszone, a następnie, że wyruszywszy w te strony zbyt późno, nie zdążyło przejść dalej. Wzięliśmy tę wydrę po kilku godzinach polowania. Była to młoda samica, około dziewięciu funtów wagi. Stara wydra byłaby się zdecydowała na krok stanowczy drugiego, a najwyżej trzeciego dnia.

A. Sztolcman.

(*Dok. nast.*)

W PÓŁNOCNEJ PERSYI.

(*Ciąg dalszy*).

O wczesnym ranku podnoszę swych ludzi i ruszamy dalej. Po kilkugodzinnym marszu zarysowały się w dali przed nami mury Nardyńskiej fortecy, do której późnym już wieczorem podeszliśmy, i rozbili nasze namioty pod jej murami. Dnia następnego, gdy wieść o przybyciu naszem rozeszła się po mieście, przybył jakiś urzędnik z zaprosinami na dwór chański, pocztem i sam chan zjawił się z wizytą i już razem pojechaliśmy do jego pałaców. Podejmowano mnie tu z całą wschodnią okazałością, prezentowano świtę chańską, odbył się przegląd załogi fortecznej, nie najgorzej prezentujący się w malowniczych ubiorach swoich.

Dnia następnego byłem obecny na dworskiej paradzie, gdzie chan odbierał od aderdejdżeńskich i turkmeńskich przywódców hołd poddańczy, a po owej uroczystości dany był bal na cześć gości, gdzie ślepi śpiewacy i cygańscy grajkowie brzękaniem monotonnem i rzewnem na harfach, oraz smętnemi śpiewy zabawiali towarzystwo. Popisywano się też rycerskiemi ćwiczeniami, konną jazdą i władaniem oręża, w czem młodzi synowie chana prym trzymali. Jam też w tyle pozostać nie chciał od innych i rozbijaniem rzucanych w górę jaj ogólny wzbudził podziw w widzach, którzy na mą cześć kilkakrotnie wznieśli okrzyki „oj urus crok jakszi urus" (bardzo dobrze, moskalu).

Dowiedziawszy się o celu mej ekspedycyi, chanowie młodzi urządzili łowy w blizkiej kniei, ziemskim rajem zwanej, gdzie sam Szach we własnej osobie już kilka razy raczył na jelenia polować. Malowniczy park z masą owocowych alei i lasów czereśniowych, obszernemi łąkami, stawami, sztucznemi strumykami i cienistemi laskami, w porównaniu z bezpłodną pustynią nardzyńską, może być śmiało rajem nazwanym. Jest też tu masa zwierza dzikiego, czy zdziczałego, jeleni, sarn, dzików, kuropatw, frankolinów i bażantów. Przy ryku wojskowych trębaczy, konno naganiających zwierza, rozpoczęły się łowy. Padł pierwszy strzał i u nóg chańskiego rumaka legł olbrzymi odyniec, ale i mnie długo na zwierza czekać nie pozwolono. Wyparto na sztych wspaniałego jelenia, który na kilka kroków zrulował przedemną i stanowił największe tego dnia trofeum. Po sutej uczcie w urządzonym na ten cel namiocie, oprowadzono mnie po parku i ukazywano miejsca, gdzie szacha zwykle wspaniałe stoją namioty, ogrodzenia tego zwykły śmiertelnik nie godzien przekraczać, uważają je jako święte miejsce. Zabawiwszy w domu gościnnego chana dłużej, niż było pierwotnym mym planem, wreszcie żegnam poczciwych znajomych i puszczam się w dalszą, ku granicom Rosyi, drogę.

Brak pieniędzy, dający mi się od pewnego czasu dotkliwie odczuwać, zmusza mnie do obrania jak najkrótszej drogi do Aschabadu, gdzie na mnie oczekiwać mają listy i przesyłki. Prowadzę więc swą niewielką karawanę szerokim, kołowym szlakiem, przerzynającym całą długość kiałpuszskiej krainy, wiodącym przez Sziowan do granic Rosyi. Droga ta posiada cokolwiek odmienny od innych pustyniowych gościńców, charakter, a choć przerzyna piaszczyste wydmy i bezpłodne obszary na wielkiej długości, podróżnik nie traci z oczu unoszących się po lewej stronie wyżyn Ascrabadzkich i częściej spotyka tu zaludnione oazy, więcej etapów i ożywionego ruchu. Na pierwszym za Nardynem etapie mijam jakąś wielką karawanę, z kilkudziesięciu jucznych mułów, koni i wielbłądów złożoną, której przewodniczy rudy, chudy i flegmatyczny Anglik z notatnikiem w ręku, w który zapisuje swe spostrzeżenia i objaśnienia, jakie daje towarzyszący mu krajowiec. W najbliższym aule opowiadano mi o niezmiernych bogactwach owego jegomości, o pięknej zbroi, rzadkich naczyniach, a przedewszystkiem o workach złota, którem szczodrze sypał za najmniejszą usługę i hojnie płacił za każdą bagatelę. Był to widocznie jeden z tych agentów Wielkiej Brytanii, których mnóstwo w ostatnich czasach kręciło się po ruskiem pograniczu azyatyc-

kiem w celach politycznych. Szedł on z Heratu do Baku.

Ledwieśmy zapomnieli o cienkonogim podróżniku, spotykamy znów kilkadziesiąt jurt koczowniczych Kurdów, rozłożonych blisko gościńca i pasących swe ogromne stada owiec, wielbłądów i jaków (*Porphagus grunniens*), tych prawdziwych, górskich mieszkańców, na żyznej dolinie aulu Dara. Ilem razy spotykał wśród bezpłodnych puszcz te żyzne oazy, zawszem starał się zaspokoić swą ciekawość co do ich nawodniania, więc i tu zwiedzam życiodajne źródła, których wprost kolosalne i dowcipne urządzenia wprawiają mnie w zachwyt i zdumienie. W górach, w odległości 8 kilom. od Dara znajduje się kilka, o znacznej głębokości, ogromnych, kamiennych studzien, których dna połączone są z sobą również ogromnym, krytym kanałem. Woda, napełniająca studnie, sama przez się przelewa się w ów kanał i biegnie nim do ogólnego zbiornika, znajdującego się już w samym aule, zkąd, według potrzeby, mniejszemi rowami bywa rozprowadzona po plantacyach. Urządzenia podobne sięgają zamierzchłych bardzo czasów, gdzie chyba nie liczono się z pracą ludzką, a pomysłowością ówczesnych inżenierów, dokładnością wykonania, i szczególniej swym ogromem zawsze widza zdumiewać będą. Nieraz jeszcze w mej podróży widziałem podobne budowle, wiele z nich, niestety, już zrujnowane, zasypane piaskiem, z pod którego nagie swe szkielety wyciągając ku przechodniowi, zdawały się przed nim użalać i opowiadać o minionej swej przeszłości, o kulturze i życiu, jakie dawały okolicy, która po ich upadku znów w dziką i bezpłodną zamieniła się pustynię.

Wł. Czerniejewski.

(Dok. nast.)

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(Ciąg dalszy).

20 lutego. Srebrzysty księżyc w samej pełni oświecał nam pierwszą noc, w dżungli pod namiotem spędzoną. Jasno było, jak w dzień; nigdzie nie widziałem takiego blasku księżyca i całego firmamentu, jak na dalekim Wschodzie.

Wokoło nas spokój dziewiczej przyrody; głuchy szum morza przypomina dziwnie się wydającą w tem otoczeniu leśnej kniei, bliskość oceanu. Głęboką ciszę przerywa tylko rytmiczny i przeciągły śpiew Syngalezów, ślących modły pobożne do wielkiego Buddhy; z głębi dżungli dolatują mnogie głosy dzikich jej mieszkańców.

Szakale wyją tuż pod namiotem, jakby zawodząc smutne żale nad najściem intruzów, zakłócających spokój leśnych tubylców. Gruby, urwany bek sambura daleko słyszeć się daje, łatwy do odróżnienia od trwożliwego głosu mniejszego jelenia „axisa“. Czasem paw, wyrwany ze snu łomotem jakiegoś zwierza, przechodzącego opodal, wrzaskliwie się odezwie i urwie, niekiedy jakiś głos ponury i przeciągły, jakby jęk bólu niezmiernego, złowrogo przelatuje nocną ciszę i zamiera w oddali, — to głos „szatańskiego ptaka“, wróżba śmierci dla Syngalezów, którzy wierzą, iż kto tego ptaka usłyszy, wkrótce potem zginąć musi.

Długo siedzieliśmy na dworze koło namiotu, wpatrując się w noc jasną i pogodną i przysłuchując się rozlicznym głosom przyrody.

Po wczorajszem sukcesie, dzień dzisiejszy mniej fortunnym się okazał. Część ranka zeszła na bezowocnem śledzeniu słoni.

O świcie podjęliśmy niedaleko od obozu świeży trop grubej sztuki, samicy, czyli krowy, jak ją tu nazywają (cowelephant), co po śladzie towarzyszącego jej małego słonika było widoczne. Wodziła nas z parę mil po dżungli; wkońcu ślad złączył się i skrzyżował z innemi, i porzuciliśmy go, by obrać inny, też grubszej sztuki, osobno idącej.

Wiatr nam nie sprzyjał i mimo całej ostrożności i sprytu trakera, słoń coś zwietrzył i ruszył przed nami. Usłyszeliśmy trzask gałęzi i podbiegłszy kawałek, ujrzałem potężne zwierzę, zwolna uchodzące. Pierwszy raz w życiu widziałem słonia na wolności, za daleko było do strzału, zresztą zad tylko widziałem, a regułą jest w tem polowaniu, natychmiast odstąpić od sztuki, która, myśliwego zwietrzywszy, przed nim uchodzić zaczyna.

Dziwnie dużo słoni w tej części wyspy. Snują się te olbrzymy po dżungli, markując swe przejście wywrotem drzew i łomem gałęzi, i wydeptując istne kurytarze w ciemnym gąszczu, ku wygodzie myśliwych, którzy niemi łatwiej posuwać się mogą.

Od czasu, jak rząd angielski podwyższył opłatę od licencyi na polowania na słonie, stan ich podniósł się znacznie. Kiedy inne rodzaje zwierzyny, jak jelenie, lamparty, a przedewszystkiem bawoły ustępują coraz szybciej przed człowiekiem i cywilizacyą, dziesiątkowane przez myśliwych, a szczególnie przez krajowych kłusowników, ciągle się przerzedzają i powoli znikają, ilość słoni na wyspie się wzmaga.

Ze sprzecznych wersyj o ich ogólnej ilości na Cejlonie, o ile w przybliżeniu obliczyć ją można, trudno znaleźć choćby przypuszczalną cyfrę, którąby prawdzie zdołała odpowiedzieć. Jedni mówią, że jest ich około 2,000 sztuk, inni powiekszają tę liczbę w dwójnasób, a krajowcy to już przesadzają ją do fantastycznych rozmiarów. Zdaje mi się, że pośrednia cyfra między dwiema pierwszemi jest prawdy najbliższą. Zważywszy jednak, że ogólne terytoryum dżungli na Cejlonie, czy to pod postacią górskiej kniei, czy leśnych obszarów na południu, jest bardzo obszerne, wypada stosunkowo gęsto słoni na poszczególne rewiry, czyli shooting-ground'y.

Nie udało mi się tegoż ranka spotkanie z trzema bawołami, bawolicą, z małym i średnią sztuką, na które, wychyliwszy się z gąszczu na leśne jeziorko, formalnie się natknąłem. Szybko do gąszczu wpadły i w prędkości z obu luf chybiłem.

Równie niefortunnie poszło mi z jeleniami axis. Zeszliśmy małe stadko tych ślicznych cervidów, odpoczywających w cieniu akacyj pod pagórkiem o jakie stokilkadziesiąt kroków od nas. Teren nie pozwalał podejść bliżej, i chcąc sobie celny strzał zapewnić, umyśliłem szneller naciągnąć; lecz czy palcem w przeciwnym kierunku zawadziłem, czy też z cynglem nieostrożnie się obszedłem, dosyć, że mi lewa lufa szybciej wypaliła, niż sobie tego życzyłem. Z konfuzyi chybiłem i z drugiej do ogłupiałych jeleni, które, nie wiedząc, zkąd im zagraża niebezpieczeństwo, chwilę jeszcze przystanęły, rozglądając się wokoło. W momencie strzału widziałem, jak z obecnej gęstwiny naprzeciw axisów, wypadł wystraszony silny jeleń-sambur, z pysznemi rogami, i zniknął w oka mgnieniu.

Ruszywszy dalej, nasz przewodnik Abanti, idący na przodzie wązką ścieżynką, zoczył lamparta w chwili, gdy z nad brzegu małej kałuży umykał przed szelestem naszego pochodu. Nikt z nas go nie dostrzegł. Abanti się przysięga, że trzy sztuki widział, i rzeczywiście po tropach wyraźnych na błocie, przekonywamy się, że Abanti ma słuszność; była to zapewne matka z dwoma młodemi. Małpy ciągle nas zwo-

dzą hałaśliwemi ewolucyami wśród konarów drzew, trakerzy biorą to niejednokrotnie za oznaki bliskości słonia.

Z ptaków widzę tu po raz pierwszy czarnego dzioborożca o dziwnym kształcie ogromnego, jakby podwójnego dzioba; ostrożne pawie i krzykliwe koguty leśne pomykają w zaroślach; z innych ptaków najliczniej są reprezentowane gołębie, miedzy któremi odmiany zielone z fioletowym odblyskiem uderzają oryginalnością upierzenia.

Urok dżungli niesłychany. Rozmaitość zwierza odpowiada jego ilości. Tajniki przyrody odkrywają przed zdziwionem okiem jej wielbiciela, coraz nowe skarby oryginalnej i bogatej fauny. Ileż to jej okazów pozostaje ukrytych przed wzrokiem przypadkowego przechodnia, który tylko ślady wielu ciekawych egzemplarzy spostrzedz jest w stanie.

Ogromny jeż nie wychyla się w dziennej porze ze swych ziemnych kryjówek, znacząc tylko swe nocne wędrówki utratą długich, czarno-białych kolców, znanych u nas w postaci obsadek do piór.

Rzadki okaz familii edentotów, t. zw. pengolin, czyli mrówkojad (Manis pentadactyla), zdradza swą obecność głębokiemi dziurami, które swym długim ryjem wygrzebuje w misternie zbudowanych kopcach białych mrówek, lecz kryje się przed okiem człowieka.

Tylko mangosy (Hephestes griseus) o puszystym ogonie, wrogi kobry i wszelakich gadów jadowitych, przemykają dość często w zaroślach, i zwinne wiewiórki (Sciurus macrourus) migają w drzew gałęziach.

A cóż dopiero mówić o świecie owadów, o tej niezliczonej ilości najdziwniejszych okazów cudnych motyli, błyszczących coleopterów, libelli i szarańczy cudacznych form i kolorów, między któremi najwięcej uderza oryginalnością budowy ciała t. zw. owad liściowy i drzewny, pierwszy do liścia, drugi do drobnego kawałka drzewa podobny.

Tu ustają moje wiadomości z historyi naturalnej, i za daleko by mię opisy tych dziwów od przedmiotu myśliwskiego opowiadania odwiodły.

Niezadowolony sam z siebie za chybne strzały i mocno zmęczony po 10 godzinnym marszu w skwarze słonecznym bez posiłku i wody, dociągnąłem przed wieczorem do obozu, przynosząc jako jedyne trofeum olbrzymią jaszczurkę Iguano (Varanus bengalensis), którą śrotem nad moczarkiem strzeliłem: istny krokodyl w miniaturze.

Syngalezi radzi, że będą mieli świeżą potrawę na dzisiejszy obiad. Zapewniają, że mięso tej jaszczurki jest smaczne i bardzo „silne", lecz, co oni pod tym drugim przymiotem rozumieją, dojść nie mogłem i wolę nie kosztować syngalezkiego specyału.

W obozie mi opowiadają, że rankiem, po naszem wyjściu, pięć bawołów wyszło z gąszczu i pasło się dobrą chwilę o paręset kroków od namiotu mej żony, która je dokładnie przez lornetkę obserwować mogła.

Widzę na białym piasku koryta małej rzeczułki, opodal płynącej, że mieliśmy w nocy gościa; świeży trop wskazuje lamparta, który zapewne pragnął zbliska spenetrować, co to za przybysze śmieli zająć rewir jego nocnych wędrówek i łowów.

(C. d. n.).

Gawędy starego myśliwego.

VIII.

Kto tylko zalicza się do grona prawdziwych miłośników myślistwa i nietylko doświadczył, ale i zżył się z temi licznemi i różnorodnemi przygodami, jakie spotykają się podczas wykonywania tego sportu; kto tylko ceni i pokochał ów szczery, bratni stosunek, jaki zawiązuje się i łączy wszystkich takich myśliwych bez względu na ich stan i pochodzenie, kto wreszcie zapamiętą owe wspólne, myśliwskie biesiady około ogniska i kociołka z tradycyjnym, staropolskim bigosem, którego widok tak radośnie zwykle oddziaływa na humor, powonienie i żołądki biesiadników, ten z pewnością wspomni chętnie na niejedną przygodę myśliwską, jaka silniej utrwaliła się w jego pamięci, a może i w sercu, ten z pewnością złoży hołd prawdziwego uznania owej swojskiej jowialności, a częstej i tryskającej dowcipem wesołości, jaka na zebraniach takich panowała. Sypały się tam, jak z rękawa, przeróżne wypadki myśliwskie, prawdopodobne i nieprawdopodobne nawet opowiadania o tych wypadkach, przyjmowane z powagą, albo i ze śmiechem, ale zawsze z tem życzliwszem pobłażaniem, jakie im tradycya myśliwska zapewniła. Żartowano ze wszystkich i ze wszystkiego, co tylko żart ten wywołać mogło, ale i w tych żartach panował zawsze ów poufały i serdeczny zarazem stosunek, jaki łączył z sobą brać myśliwską. Biada jednakże była tym z braci-towarzyszów, którzy zasłużyli sobie niechcący na jaki żartobliwy przydomek. Raz uzyskany przydomek taki pozostawał im na długo, albo i na zawsze; dawał powód do niejednych objawów wesołości, chociaż nigdy osobiście nie ubliżał i pod tym względem, a może właśnie i dlatego praktykowały się i wśród ludzi starszych, nawet osiwiałych już myśliwych, owe dawne, a tak drogie nam wszystkim wspomnienia i zwyczaje szkolne.

Jak w każdej zwykle okolicy, tak i w okolicy mojej istniało kółko myśliwskie największych lubowników polowania. Kółko to było zagorzałych, jak to mówią, myśliwych, którzy nie omijali żadnej nastręczającej się okazyi, ażeby wyruszyć na jakąś wyprawę łowiecką, szukać zdobyczy na błotach, polach, lub w lasach, a w dodatku i pobiesiadować w gronie zacnych sąsiadów i towarzyszów broni, u których znalazło się i słowo wzniosłe, i serce życzliwe. A do wypraw takich zachęcały nas też zwykle i poczciwe żony nasze, bo nietylko cieszyły się z radości naszej, nietylko wysoko szanowały ów szczery, sąsiedzki stosunek, jaki panował wśród dawnych ziemian i z ojców na synów przechodził, ale i rade były z zasilenia domowej ich śpiżarni, zawsze gotowej na przyjęcie drogich gości. Bo żony nasze nie uciekały się wówczas do tych drogich, wykwintnych, teraźniejszych przyjęć, rujnujących kieszeń, ale słusznie szczyciły się z przygotowania takich tylko zasobów spiżarnianych, które tworzyły się z produktów własnego przemysłu i gospodarstwa, a gospodynie polskie głośną okrywały sławą.

Do naszego ściślejszego kółka myśliwych należał jeden z bardzo zacnych ziemian okolicznych. Lubiliśmy go, jako dobrego sąsiada i towarzysza, zawsze i w każdej porze gotowego do udziału w łowieckiej wyprawie, niemniej jednak dawał on nam powód nietylko do śmiechu, ale i do gniewu, bo okrutnie lubił się chwalić i chciwy był strzału.

Na jednem z większych polowań, przy ognisku i bigosie, rozpoczęły się nieuniknione gawędki o tem, co zdarzyło się na dokonanych dotąd miotach. Panu X., służyło w dniu tym szczęście, zabił w ostatnim miocie kilka zajęcy, humor miał dobry, a przytem trzeba było i pochwalić się przed towarzyszami, że przecież owe nabyte zdobycze myśliwskie nie przyszły mu zbyt łatwo. Skorzystał więc z pierwszej możności zabrania głosu i wśród gwaru biesiady, przerywanego śmiechem lub żartem towarzystwa, opowiedział nam dzieje zabitych zajęcy.

— Wyobraźcie sobie panowie — rozpoczął — że jak tylko naganka ruszyła, niedługo potem mignęło mi coś w gąszczu. Pomyślałem sobie: lis jedzie, dam ci bratku! Tymczasem patrzę, aż tu kituś, kituś!

i o jakie sto kroków stanął kot ogromny. Daleko, myślę, ale umknąć może. Palę! Skoczył tylko w górę, leży. Zaledwie włożyłem nowe naboje i spojrzałem na lewo, znów widzę: kituś! kituś!, i jak głupi, idzie prosto na mnie. Spostrzegł mnie szelma na jakieś 50 kroków; zawrócił się i dał susa, ale nie dał już drugiego, bo tylko kozła wywrócił po moim strzale.

Usłyszeliśmy następnie dzieje jeszcze dwóch innych, zabitych kitusiów, naśmieliśmy się serdecznie i od tego czasu ów opowiadacz otrzymał od nas przydomek: Kituś. Przydomek ten przetrwał nienaruszony w naszem kółku myśliwskiem jako żart niewinny, a przetrwał właściwie i dlatego, że nie ubliżał w niczem człowiekowi, który na szacunek powszechny zasługiwał.

Mieliśmy też w naszem gronie i innego znów towarzysza, doskonałego strzelca, wytrwałego we wszystkich trudach myśliwskich i zawsze gotowego do udziału w łowach, ale posiadał tę jedną, wielką wadę, że podczas polowań z naganką prawie zawsze nie był zadowolony ze wskazanego mu stanowiska, zmieniał je nieraz kilkakrotnie, chociażby o kilka, lub kilkanaście kroków, psuł przez to linię strzelców, narażał i siebie i towarzyszów na niebezpieczeństwo postrzelenia. Zdarzyło się też czasem, że ruchami swojemi płoszył zbliżającą się zwierzynę. Był to człowiek już starszy i szanowany, a więc tolerowano jego zboczenia i wady myśliwskie, chociaż sąsiedztwo jego na polowaniu przyjmowano niechętnie.

Na jednem z takich polowań z naganką podczas większego mrozu i głębokiego śniegu, dostałem stanowisko obok towarzysza, o którym mowa, a który, oprócz zwyczajnego, myśliwskiego kożuszka, miał jeszcze do okrycia elegancką z futrem algerkę.

Jak zwykle, tak i tym razem, sąsiad ten opuścił wskazane mu stanowisko, posunął się o kilkanaście kroków w głąb kniei, a chcąc prawdopodobnie zabezpieczyć nogi od przemarznięcia i przygotować się do wygodniejszego strzału, zdjął z siebie ową futrzaną algerkę, rozłożył ją na śniegu, stanął na niej, i widocznie dla większej wygody, rozsunął ją w różnych kierunkach i rozdeptał nogami.

Miot skończył się, zaczęliśmy się schodzić, sąsiad mój podniósł swoją algerkę, ażeby się nią okryć, ale jednocześnie zaklął siarczyście, a my wszyscy wybuchnęliśmy niepowstrzymanym śmiechem. Całe futro algerki pokryte było jedną, ogromną plamą jakiegoś cuchnącego błota. Okazało się po bliższem zbadaniu, że jeden z osobników naganki świeżo pozostawił po sobie obfitą porcyę przetrawionego już śniadania, a sąsiad mój na na tem właśnie miejscu obrał sobie stanowisko, przykrył je zdjętem futrem, i jakby dla lepszego zużytkowania, śniadanie to rozdeptał.

Algerka była naturalnie nie do użycia, trzeba było schować ją w słomę dla dowiezienia do domu, a poszkodowany nasz towarzysz stracił humor, bo zziębnięty wrócił z polowania.

Od tego czasu, zauważono to ogólnie, przestał zamieniać na polowaniach wskazane mu stanowisko, a poczciwy jakiś naganiacz ani się spodziewał, że obfite jego śniadanie tak pożądany dla myślistwa sprawiło skutek.

L. Łaszcz.

Drobiazgi myśliwskie.

Wilki w okolicy Płocka. Do „Mazura“ donoszą, że na wiosnę r. z. w lasach słupieńskich, dotykających lasu mniszewskiego i zagajników cekanowskich, pojawiły się wilki, i napadając na stada owiec, gęsi i t. p., wyrządzały szkodę. W zimie nie było ich widać, jakby przeniosły się gdzieindziej. Obecnie znowu w tychże okolicach pojawiły się. We wsi Białobrzegi np. kolonista spostrzegł przy koniu na pastwisku wilczycę z trzema młodemi; jednego młodego wilczka udało się schwytać. Gospodarze zmuszeni są obecnie strzedz się przed temi szkodnikami.

Z gub. warszawskiej do Niemiec. W piśmie niemieckiem „Deutsche Jaeger Zeitung“ z d. 26 lipca r. b. znajdujemy następującej treści korespondencyę: „Rozkład łowiecki w majątku Krosniewice (Krośniewice w pow. kutnowskim *Przyp. Red. „Łowca Polskiego“*) w gub. warszawskiej: od d. 1 stycznia 1900 r. do 31 grudnia 1905 r.: 52 rogacze, 5,014 zajęcy, 136 królików, 1,995 bażantów, 2,814 kuropatw, 117 lisów, 14 kun, 231 tchórzy, 371 łasic, 1 borsuk, 1 jeż, 96 wiewiórek, 1,301 psów, 586 kotów, 18 czapli, 443 wielkich ptaków drapieżnych, 402 małych ptaków drapieżnych, 3,741 wron i srok. - Wielkość rewiru: około 4,000 hektarów.— Obecny zwierzostan: około 250 czapli, 2,000 zajęcy, 1,200 bażantów, 2,000 kuropatw. Gustaw v. Buseck-Busecki, nadleśniczy“.

Kości mamuta. Z Kowna donoszą, że na lewym brzegu Niemna od strony gubernii suwalskiej znaleziono kości mamuta, które oddano do muzeum kowieńskiego.

Z polowań dworskich. Tegoroczne polowanie dworu austryackiego w rewirze Neuberg na głuszce i cietrzewie zostało zakończone 12-go maja z rozkładem 162 głuszców i 4 cietrzewi, oprócz kilku kur przygodnych. Brali w niem udział arcyks. Franciszek Ferdynand d'Este, Franciszek Salwator, ks. Leopold Bawarski i jeszcze 17-u dostojnych gości. Na 68 tokowiskach ubito 162 głuszce, począwszy od 23 kwietnia. Rezultat jest lepszy, niż w r. z.

Konkurs strzelców niemieckich. Strzelanie konkursowe „Związku strzeleckiego myśliwych niemieckich“ odbyło się w Neumannswalde pod Neudamm przez trzy dni, a mianowicie: 5, 6 i 7 lipca r. bież. Jest to największy konkurs strzelecki coroczny, który też w r. b. miał przebieg ciekawy. Walczyło przeszło 100 strzelców, dla których przeznaczono 180 nagród honorowych i przedmiotów wartości ogólnej około 11,000 marek. Rezultat strzelania do gołębi glinianych w celu uzyskania tytułu mistrza na Niemcy, przedstawia się jak następuje: 100 gołębi, 26 strzelców. 1) Dr. Albrecht-Liska — Schaaken 83 gołębi, 2) Stuehmke — Charlottenburg 81 g., 3) Rohrbeck — Zielenzig 80 g., 4) Merten—Berlin 80 g., 5) Alb. Preuss — Charlottenburg 79 g., 6) v. Sothen - Neudamm 79 g., 7) Dorn — Lindow 78 g., 8) Koch — Derneburg 78 g., 9) Giessel Doelzig 76 g., 10) Eilers—Rostock 75 g.

Strzelanie konkursowe. W Medyolanie odbyło się w czerwcu międzynarodowe strzelanie konkursowe z następującym rezultatem:

D. 9 czerwca match rewolwerowy:

1)	Belgia	2,425 punktów.
2)	Szwajcarya	2,422 „
3)	Francya	2,362 „
4)	Włochy	2,302 „
5)	Argentyna	2,119 „

D. 11 czerwca match strzelbowy:

1)	Szwajcarya	4,716 punktów.
2)	Francya	4,694 „
3)	Belgia	4,502 „
4)	Włochy	4,492 „
5)	Argentyna	4,488 „
6)	Austrya	4,183 „

Wczesna ruja w Austryi niższej. W rewirze Hellentale zauważono już d. 16 maja, jak silny koziołszóstak pokrywał młodą kozę; dzień ten jest pierwszym, w którym ustaje tam czas ochronny dla kozłów. Nazajutrz zauważono podobny wypadek w innej miejscowości nad Dunajem. Jest to tem dziwniejsze, że obecne lato bynajmniej tam nie należało do upalnych, lecz przeciwnie padały często chłodne deszcze.

Wystawa psów w Bazylei miała 425 okazów, nadesłanych przez obywateli szwajcarskich. Między psami było 31 krótkowłosych, 11 długowłosych, 26 ostrowłosych. 13 pointerów i 21 setterów. Wyżły stanowiły osobny dział, urządzony przez szwajcarski klub zwolenników wyżłów. Największe kolekcye wystawili pp. Dennler i Hofstetter.

Kuropatwa na jajach bażancich. Leśniczy z rewiru Elbing, w Niemczech pierwszy raz w końcu kwietnia znalazł śród krzaków jeżyny kurę bażanta, siedzącą na 10-u jajach. D. 15 maja zbliżył się znowu do tego miejsca i ujrzał na tych samych jajach, widocznie opuszczonych, kuropatwę siedzącą, która miała tam kilka jaj własnych i kilka bażancich.

Orły pod Wrocławiem. W leśnictwie Surmin, majątku Majowoli ubił leśniczy d. 26 maja r. b. orła-bielika, a 29 t. m. orła-łomignata; przed paru miesiącami schwytano w żelaza orła-łomignata.

Przesyłanie pneumatyczne zwierzyny. Podczas niedawno odbytych prób na nowych, podwójnych liniach poczty pneumatycznej w Filadelfii przekonano się, że tą drogą mogą być przesyłane z niezwykłą szybkością i bez najmniejszego ryzyka żywe stworzenia, zamknięte w cylindrach metalowych. Obecnie chodzi już tylko o umożliwienie takiej lokomocyi i ludziom. Jak zapewniają gazety amerykańskie, próby tego rodzaju odbędą się w najbliższej przyszłości,—skoro tylko będą założone dostatecznie szerokie rury. Najciekawsze były próby z żywemi stworzeniami. Wysłano najpierw koguta. Zdechnie niewątpliwie,— powiedział jeden z obecnych. Wcale nie, cylinder zawiera dostateczną ilość powietrza, — ptak może żyć trzy minuty. A jeżeli cylinder zatrzyma się w drodze? W takim razie kogut zdechnie, system jednak działa tak dobrze, iż obawy niema najmniejszej. Kogut w drodze — powiedziano przez telefon. Dwie minuty nerwowego wyczekiwania... Z ogromnym rozpędem nadszedł cylinder i uderzył o poduszkę gumową z taką siłą, że odskoczył z powrotem na dwa metry. Po usunięciu papieru, który wypełniał cylinder, wyjęto koguta, który zapiał radośnie. Z kolei przysłano w ten sposób akwaryum z rybami, dwoje miesięcznych szczeniąt i dwie stare świnki morskie. Wszystko przyszło wyśmienicie. Szczenięta były wprawdzie nieco odurzone, ale rychło przyszły do siebie. Cylindry wysyłać można pocztą pneumatyczną co 6 sekund. Szybkość wynosi 50 kilometrów na godzinę.

Aklimatyzacya kolibrów. W ogrodzie Zoologicznym w Londynie przeprowadzono niedawno nową próbę aklimatyzacyi kolibrów, która wszakże, podobnie jak i poprzednie, nie powiodła się. Dla nadesłanych z Wenezueli, czterech kolibrów zbudowano osobną klatkę, zapełniono ją roślinami podzwrotnikowemi, a wysokość temperatury unormowano ściśle według tej, jaka panuje w lasach dziewiczych Wenezueli. Pomimo tych zarządzeń, pomimo obfitego pożywienia, trzy ptaszki już nie żyją i mała jest nadzieja utrzymania przy życiu czwartego. Ubiegłej zimy robiono też próbę podobną z jednym kolibrem, lecz, pomimo najtroskliwszej opieki, żył zaledwie kilka tygodni.

Oswojona kawka. Niezwykły przypadek zdarzył się oswojonej kawce w jednej z wielkich, angielskich fabryk. Znikła ona pewnego rana, i najpilniejsze poszukiwania pozostały bez rezultatu. Dopiero jeden z szukających zauważył jakiś czarny przedmiot, tkwiący w olbrzymiem, obracającem się kole maszyny. Ale maszyny nie można było zatrzymać wcześniej, aż o pół do drugiej. Gdy koło stanęło, wypadł z jego wnętrza ptak, który przez półtrzeciej godziny wirował w niem z szybkością 176 obrotów na minutę. Kawka wydobyła się z tego wiru cała i zdrowa.

Środek na lisa. „*Live Stock Journal*" donosi: Oryginalny środek, żeby ptactwo uchronić przeciw lisowi, opisuje Brome w swej książce, wydanej 1707 r. p. t. „Podróże po Szkocyi, Anglii, oraz Walii". Wieśniacy w Glenmoors — mówi — łowią młodego lisa, wychowują go, zabijają potem i mieszają jego mięso z karmą dla ptactwa; przez to jest ono conajmniej w przeciągu dwóch miesięcy zupełnie zabezpieczone od napadów lisa i może spacerować, gdzie się podoba, a właściciel może być spokojny, że lis mu nie zniszczy ptactwa. Albowiem lisy wietrzą mięso swego krewniaka u kur, kaczek i t. d. i nie chcą się do nich zbliżyć, a raczej ich unikają, poznając je nawet, gdy te pożeraczki mięsa lisiego znajdują się śród setek im podobnych ptaków.

Partya 66 w lwiej klatce. W Höchst nad Menem, po ukończeniu przedstawienia w menażeryi Friesego, dyrektor zapytał obecnych, czy kto z publiczności nie miałby ochoty zagrać z nim partyjki 66 w obecności... 6 lwów. Młody, czternastoletni chłopiec, Stein, zdecydował się natychmiast i, paląc papierosa, zasiadł najspokojniej wraz z pogromcą i jego żoną w klatce, do której wpuszczono sześć wspaniałych okazów lwiego rodu. Publiczność zatrzymała dech w piersiach, z niepokojem śledząc ruchy królów pustyni. Lwy obeszły wokoło klatkę i, widząc nieznajomego, zbiły się w kąt wszystkie, a młody szaleniec wypił najspokojniej wraz z pogromcą butelkę wina, zagrał partyjkę i wyszedł nietknięty. Huczne oklaski na pół zmartwiałej z przerażenia, publiczności, były nagrodą odważnego młodzieńca.

Kradzież krokodyla. W Budapeszcie w cyrku Beketow francuz Pernet produkuje się obecnie ze swemi 40-ma tresowanemi krokodylami, które spoczywają w stajni cyrkowej w dwóch wielkich, okratowanych basenach. Otóż w d. 14 czerwca w nocy jeden z posługaczy stajennych usiłował ukraść jednego z tych płazów, długości około półtora metra. W tym celu wyłamał on jedną sztangę z okratowania i włożył rękę, aby wydostać przez ten otwór krokodyla. Ale krokodyl, nie znosząc zbliżenia się obcego człowieka, pochwycił rękę, sięgającą po niego, w swą straszną paszczę. Na okrzyk bólu cała służba stajenna zbiegła się i obroniła nieszczęśliwego od strasznych bólów z ukąszenia. Przeciwko okaleczonemu złodziejowi wdrożono śledztwo sądowe. Zachodzi jednak pytanie, do czego temu człowiekowi potrzebny był... krokodyl. Czyżby, jak Papkin mówi, ofiarować go chciał swej lubej?

Baba i polowanie. — Miałeś pójść na polowanie?
— Chciałem, lecz spotkałem starą babę.
— No, to chyba dziś już żadnego myśliwego nie wstrzymuje.
— Kiedy babą była moja praczka, a należy się jej jeszcze pięć rubli.

* * *

Określenie. A: — Co za prześliczny buldoczek.
B: — Ależ zmiłuj się, obrzydliwy!
A: — Buldog im obrzydliwszy, tem śliczniejszy.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (*C. d.*)

Lis.

1. Alboś nie słyszał, kiedy w lisi ogon trąbiono?
2. Aby ogonek położyć, liszka prosi.
3. Chciałby mieć z jednego lisa dwie skóry.
4. Czekaj lisie, pójdę po flintę!
5. Dwóch lisów w jednej norze, dwóch panów w jednym dworze — nie zgodzą się.
6. Farbowanych lisów nie zna.
7. Gdzie lisiej skóry nie stawa, tam jej lwią skórą nadstawia.
8. Każda liszka swój ogon chwali.
9. Kiedy lis umiera, to się kury cieszą.
10. Kto lisa w worze kupuje, psa albo kota najduje.
11. Lisa z ogona poznać.
12. Lis, choć farbowany, zawsze jest poznany.
13. Lisem podszyty.
14. Lis grzeje, kuna chłodzi, soból zdobi, baran wszy płodzi.
15. Lisie, pomknij się, kuno pod stół, sobolu na stół, a ty baranie za piec.

16. Lisim ogonem machać.
17. Lisim ogonem po pierzynie.
18. Lisi ogon za towar nie uchodzi.
19. Lis, jak był, tak będzie lisem, a pan zostanie panem.
20. Lis kokoszy nie zaniecha.
21. Lis lisa okpił.
22. Lis, nie mogąc kiszki dostać, rzekł odchodząc: powróz ci też był.
23. Lis szczwany niełatwo bywa chwytany.
24. Lis to owczą skórą pokryty.
25. Lisy drzeć z kim.
26. Lisy farbowane udają prawdziwe.
27. Liszka głodna drzemie.
28. Liszka kur nie niecha.
29. Liszka kusa drugim ogona przycinać radzi.
30. Liszka włos tylko zmienia, a nie obyczaje.
31. Nie łatwo lisa złapać, jeśli go już charty goniły.
32. Nie przez jedną dziurę wchodzi lis do jamy.
33. Po śmierci lisa kury nie płaczą.
34. Potrafi lisa do góry ogonem obrócić.
35. Starego lisa trudno ułapić na żelazo.
36. Strzeż się lisie, żebyś ogona nie postradał.
37. Śpiący lis kur nie łapie.
38. Więcej się często wskóra lisim ogonem, niż lwim pazurem.
39. Za jeden ogon dwie liszki trzymać.
40. Zastraszyłbyś go lisim ogonem.
41. Znają lisa po sierści.
42. Zna się na farbowanych lisach.
43. Żeby lisa ze skóry obdarł, toby mu ciepło było (taki upał).
44. Gonią lisa nie dla mięsa, ale dla skóry.
45. Na postawie baranek, ale lis na myśli.
46. Biegają, jak charci za lisem.
47. Chwali się, jak liszka swoim ogonem.
48. Chytry, jak lis.
49. Ciągnie się, jak lis.
50. Chłop z Dyss (wsi) przedał psa żydowi za lisa.
51. Dyszy, jak lis w jamie przyłajony.
52. Przybywaj lisie, póki cu na misie.
53. Ogolił go, jak lisa, bez mydła.
54. Od Kalisza do Kalisza: buty ze psa, czapka z lisa.
55. Kot myszy nie niecha, liszka kur, a wilk owiec.
56. Kręci, jak lis ogonem.
57. Kręci się, jak lis, kiedy go przyskrzesz.
58. Kupił psa za lisa.
59. Nie kupują lisa w worze.
60. Łaska spóźniona, jak lis bez ogona
61. Machnął, jak lis kitą.
62. Mądry, jak liszka.
63. Przebiegły, jak stary lis.
64. Kota za lisa sprzedał.
65. Siedzi, jak lis w jamie.
66. Skacze, jak lis.
67. Skupili się, by liszki u kuśnierza.
68. Sobole dla pana, lisy dla podpanka,
69. Spędzony, jak lis przed psami.
70. Stroi się w sobole, a ciągnie się, jak lis.
71. Z synami na lisy, z zięciami na zające.
72. Gdzie wilczej skóry nie staje, lisiej nadstawić.
73. Kto się wilkiem urodził, ten lisem być nie może.
74. Nie ustraszy wilka lisem.
75. Wlecze się, jako lis.
76. Wykurzył go, jak lisa z jamy.
77. Wywija, jak lis ogonem.
78. Złapał, jak lisa w jamie. *(C. d. n.).*

Treść Nr. 16 „Łowca Polskiego".

Zjazdy we Lwowie (dokończenie). Przegląd krajowych ssaków łownych. *Jan Sztolcman* (ciąg dalszy). — Strzelanie porównawcze. — Z nowego królestwa Norwegii. — W podrównikowej Afryce 1905 r. *Jan Sztolcman* (ciąg dalszy).— Dzieło Schillingsa o zwierzynie na wolności. *J. Kamieniusz* (ciąg dalszy). — Polowanie na wydry. *A. Sztolcman* (ciąg dalszy). — W północnej Persyi. — *Wł. Czerniejewski* (ciąg dalszy). — Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu. *Józef hr. Potocki* (ciąg dalszy). — Gawędy starego myśliwego. *L. Łaszcz.* — Drobiazgi myśliwskie: (Wilki w okolicy Płocka). (Z gub. warszawskiej do Niemiec). (Kości mamuta). (Z polowań dworskich). (Konkurs strzelców niemieckich). (Strzelanie konkursowe). (Wczesna ruja w Austryi niższej). (Wystawa psów w Bazylei). (Kuropatwa na jajach bażancich). (Orły pod Wrocławiem). (Przesyłanie pneumatyczne zwierzyny). (Aklimatyzacya kolibrów). (Oswojona kawka). (Środek na lisa). (Partya 66 w lwiej klatce). (Kradzież krokodyla). — Humorystyka. — Przysłowia myśliwskie *J. O.* (ciąg dalszy).

W felietonie: W taki to cichy, jesienny wieczór. *W. J.* (ciąg dalszy).

Ilustracye: Sława.

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:

Smolna 34, w Warszawie.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 17. Warszawa, d. 1 Września 1906 r. R. VIII

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

We wrześniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie i wszelkie ptactwo przelotne, a od 14 września na: klępy, łanie i kozy.

Uwaga. Zajęcy do 1 października, a kóz i łań wcale strzelać nie należy.

Łunacja we wrześniu.

Pełnia d. 2 o g. 1 m. 0 pn.
Ostat. kw. d. 10 o g. 10 m. 18 w.

Wschód i Zachód Słońca

we wrześniu

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	5	11	6	24
2	5	13	6	23
3	5	14	6	23
4	5	16	6	22
5	5	18	6	22
6	5	19	6	21
7	5	21	6	21
8	5	23	6	20
9	5	24	6	20
10	5	26	6	19
11	5	28	6	18
12	5	29	6	17
13	5	31	6	16
14	5	33	6	15
15	5	34	6	14